

Wybór moralny. In vitro

24 lutego 2017

Rada Miasta Gdańska uchwaliła właśnie program dofinansowania z budżetu miasta zabiegów in vitro. Byłem członkiem komisji przygotowującej ten program, nie specjalnie może aktywnym, za to potrafiącym docenić pracę innych członków, przede wszystkim lekarzy.

Mniej więcej miesiąc przed wspomnianą sesją RMG niektórzy księża z tutejszej archidiecezji zaczęli namawiać wiernych, by wysyłać do radnych listy wyrażające sprzeciw wobec finansowania metody zapłodnienia pozaustrojowego. Duchowni zachęcali do korzystania z ulotek objaśniających niemoralność tego typu zabiegów, a także z przygotowanych wzorów listu. Z „Dziennika Bałtyckiego” dowiedziałem się, że ksiądz Rafał Starkowicz, dyrektor Centrum Informacyjnego Archidiecezji Gdańskiej, również uznał metodę in vitro za niegodziwą i że rozumie autorów takich listów. Powiedział: „Každy katolik jest też obywatelem i ma prawo wypowiadać się zgodnie ze swoim sumieniem”.

HOMO MORALIS

Rzeczywiście, sumienie – nie tylko dla chrześcijanina, ale dla niego przede wszystkim – stanowi podstawowe źródło rozstrzygnięć moralnych. Czy protest wyrażony pod wpływem namowy pozostaje głosem sumienia, rzecz wątpliwa. Mówiąc o sumieniu ma się przecież na uwadze poczucie osobiste. To głos wewnętrzny mówiący o tym, co powinno być, bo jest dobre, i czego nie powinno być, bo jest złe. Różnie określa się takie poczucia – jaźń moralna, ja aksjologiczne, intuicja moralna, etyczność immanentna itp.

O wadze sumienia mówią często przytaczane słowa, jakie napisał bł. kard. John Henry Newman w liście do księcia Norfolkku: „Gdybym miał, co zresztą mało prawdopodobne, wznieść toast za

religię, piłbym go za papieża, ale najpierw za sumienie, a dopiero potem za papieża”.

Kościół za św. Tomaszem uczy, że nawet sumieniu, które niezgodnie z obiektywnym stanem rzeczy rozeznało dobro bądź zło danego aktu, należy się posłuszeństwo. Grzech, czytamy w katechizmie, jest złem uczynionym świadomie (i dobrowolnie). Mogłoby się więc wydawać czymś niewątpliwym, że jeżeli osobie odwołującej się do metody zapłodnienia pozaustrojowego nie towarzyszy świadomość popełnianego zła, jeśli nie uznaje tej metody za „niegodziwą” – o grzechu nie może być mowy.

W ZASADZIE TAK

Pewien protestancki pastor zauważył przytomnie, że Bóg stworzył ludzi na swoje podobieństwo, więc im ufa. Kiedy jednak wierni chcą trzymać się tego, najważniejszego dla wiary ewangelicznego przesłania, napotykają od razu na reprimendę ze strony zagrożonej w swych prawach instytucji (hierarchii), która najwyraźniej wiernym nie ufa i poprawia Bożą niefrasobliwość. Wygląda to tak, jakby wierni utracili, zagubili gdzieś boskie podobieństwo i tylko instytucja je zachowała. Trudno nie przyznać racji ks. Tomášowi Halikowi piszącemu, że każdy, kto w dziejach Kościoła próbował traktować Ewangelię poważnie, zawsze napotykał na instytucjonalne przeszkody.

Jakimś śladem wspomnianej nieufności są słowa wypowiedziane w 1962 r. przez abp. Karola Wojtyłę podczas soborowych dyskusji nad deklaracją o wolności religijnej: „Godzi się bowiem postępować zgodnie z sumieniem pewnym, nawet jeśli jest ono nieodparcie błędne, lecz ponad tę zasadę należy przedłożyć inną, która brzmi: winno się postępować zgodnie z sumieniem pewnym i prawym. [...] Istota wolności tkwi w wyborze, ale nie w wyborze jakiegokolwiek dobra, lecz dobra prawdziwego”. Sumienie jest najważniejsze? W zasadzie tak, pod warunkiem jednak, że będzie sumieniem prawym, to znaczy takim, które kieruje się ku dobru prawdziwemu. To dobro wskaże kościelny

autorytet, formując niedojrzałe i błędzące poczucia wiernych.

Czy uformowane przez kogoś sumienie pozostaje sumieniem w ścisłym sensie, czyli wyrazem osobowej samowiedzy moralnej – to również rzecz wątpliwa. Autonomia jednostki, dla Immanuela Kanta fundament moralny, przeobraża się w takiej sytuacji w heteronomię, w podległość. Wątpliwości te pogłębiają się w związku z możliwymi sposobami owego formowania. Można formować poprzez urabianie, przykładanie z zewnątrz właściwej formy i odciskanie jej na ludzkim tworzywie. Można też w sposób akuszeryjny wydobywać z człowieka to, co już w nim jest. Takie formowanie ma na myśli o. Ludwik Wiśniewski („Blask wolności”) pisząc, że można w ten sposób uruchomić w człowieku tkwiące w nim moce. Widać od razu, że pierwszy sposób za nic ma boski ślad pozostawiony w duszy. Natomiast drugi w znacznym stopniu pozostawia sumienie jego właścicielowi (piszę: w znacznym stopniu, gdyż sama akuszeria też nie jest zupełnie neutralna).

Józef Wiśniewski w swej książeczce stara się przywrócić chrześcijańskiemu sumieniu właściwy sens. Przykre, że musi upominać się o rzeczy podstawowe – że (1) autonomia to nie relatywizm, (2) zdolność moralna jest cechą natury człowieka, (3) w podejmowanych wyborach moralnych nikt nie może wyręczyć jednostki, (4) konflikt sumienia z nauczaniem Kościoła winien być rozstrzygany na rzecz sumienia („I to z szacunku dla Stwórcy, dla Kościoła i dla człowieczeństwa, którym obdarzył go Stwórca”).

MORALNOŚĆ, ETYKA

W liście otwartym przeciwników metody in vitro, drukowanym na łamach „Dziennika Bałtyckiego”, sygnatariusze wspominali jednym tchem o obiekcjach natury moralno-etycznej. Jednak etyka i moralność to nie to samo. Obydwa pojęcia mają wspólną – łacińską (mores) i grecką (ἠθῆ [éthe]) – etymologię mówiącą o obyczajach i obyczajności, lecz używane są w odmienny sposób. Moralność to rzeczywistość sumienia („chęć”), natomiast etyka jest literaturą wskazującą normy postępowania

(„powiniennem”). Z jednej strony poczucie wewnętrzne – z drugiej zewnętrzny imperatyw.

Opinie mówiące, że odwołanie się do etyki świadczy o klęsce moralności, nie wydają mi się pozbawione podstaw. Tyczy to zwłaszcza etyki wyrażonej w formie kodeksu, która podmiotem wyboru moralnego czyni kodyfikatora, a nie uwikłanego w określoną sytuację człowieka. Kodeks stanowi rodzaj łatwej „ściągawki” i pogłębia niedojrzałość moralną.

Zygmunt Bauman w „Etyce ponowoczesnej” pokazuje taki właśnie stan dzisiejszego świata. Pisze, że moralność została wyparta przez etykę, moralna jaźń przez kodeksy, moralna odpowiedzialność przez konformizm, a autonomia (fundament moralności) – przez heteronomię, czyli moralny dyktat.

Andrzej Walicki kreśli jeszcze ciemniejszy obraz stanu moralnego dzisiejszej Polski, w której moralność nie tylko została zawłaszczona przez normatywną etykę, lecz stała się przedmiotem legislacji, czyli dekretowania tzw. słusznych poglądów jako obowiązujących prawnie (nie tylko „powiniennem”, ale „muszę”). Regulacja prawna skutecznie uwalnia od ciężaru sumienia, dzięki czemu wszystko okazuje się znacznie prostsze, bardziej praktyczne i skuteczniejsze w kontrolowaniu zbiorowych zachowań – bo o nie tylko chodzi.

Zdaniem o. Wiśniewskiego właściwe Kościołowi odwoływanie się do norm kodeksowych oznacza traktowanie dorosłych jak rozkapryszonych dzieci. Tymczasem etykę trzeba przebudować tak, by uznawała autonomię człowieka wobec norm pisanych. „Istotne jest uznanie godności ludzkiego sumienia, którego nie zastąpi żaden kodeks”. Papież mówi o grzechu pysznego klerykalizmu – i o głosie serca zdolnym przewyciężyć chciwość, zaniechanie i zimną obojętność, przede wszystkim wobec uchodźców i zdegradowanego środowiska. Tymczasem polscy hierarchowie z niezmienną troską pochylają się na ludzką seksualnością, dekretując formy poczęcia.

KATOLICYZM A'LA JUDAIZM?

W pewnej anegdocie zbuntowana żydowska nastolatka stanęła przed swym nauczycielem i oznajmiła, że nie wierzy w Boga. Popatrzył kpiąco i powiedział: A kto ci każe w Boga wierzyć? Masz go słuchać! W tym bodaj leży istota judaizmu – że nie rzeczywistość wewnętrzna ma znaczenie, ale postępowanie według boskich zaleceń. Zwracał na to uwagę Izaak Bashevis Singer (w rozmowie z Richardem Burginem) mówiąc, że wielkość Biblii (Starego Testamentu) tkwi w tym, że nie mówi niczego o tym, co jakiś człowiek myślał i czuł, tylko o tym, co zrobił.

W chrześcijaństwie też mówi się o posłuszeństwie Bogu i boskim przykazaniom. Nie ma to być jednak ślepe posłuszeństwo, ani takie, którego treść określona jest przez autorytet urzędu. Ma być, jak próbowałem wyżej pokazać, aktem wolnym („chcę”), odwołującym się do sumienia. Do sfery wewnętrznej (intencjonalnej) przywiązuje chrześcijaństwo o wiele większą wagę, niż do sfery behawioralnej. Bóg nie potrzebuje naszych prac, potrzebuje naszej miłości – pisała św. Teresa z Lisieux. Wierzyć (credere) to ze zbawczego punktu widzenia coś bardziej podstawowego, niż czynić (facere). Wnętrze – dobra wola albo zła wola – o wszystkim przesądza. W moralności nie chodzi o to, powtarzał Józef Tischner, żeby ludzie nie zabijali, ale o to, żeby nie chcieli zabijać. (Samymi zabójstwami zajmuje się prawo stanowione, choć i ono bierze pod uwagę stan intencjonalny obwinionego). „Słyszeliście, że powiedziano przodkom: »Nie zabijaj!«; a kto by się dopuścił zabójstwa, podlega sądowi. A Ja wam powiadam: Każdy, kto się gniewa na swego brata, podlega sądowi” (M 5,21). „Słyszeliście, że powiedziano: »Nie cudzołóż!«. A Ja wam powiadam: każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa” (M 5,27). Przytaczam niektóre tylko sformułowania mówiące o duchu Nowego Testamentu.

Przyznam, że coraz trudniej mi uwolnić się od poczucia, że zinstytucjonalizowana praktyka katolicka podąża wciąż tropem judaistycznym, starotestamentowym. Nie jakość wiary brana jest

pod uwagę, ale dające się kontrolować postępowanie. Na martwość praktyk oderwanych od wiary wskazywał wielokrotnie Jerzy Nowosielski. Jego zdaniem liturgia sprawowana w takim kościele nie jest już aktem żywego doświadczenia religijnego. Stanowi raczej nieudolną próbę reanimacji dawniejszych jej form, odtwarzania rzeczywistości starotestamentowej, z której nie potrafi się wyzwolić.

Sporo pisze się dziś o praktykujących niewierzących (tyczy to także kapłanów, którzy sprawują swe posługi bez wewnętrznej wiary), i o Kościele, w którym nie ma Boga, który stał się „sprawnie zarządzaną organizacją pozarządową” (Franciszek). Coraz częściej spotyka się wypowiedzi osób, które omijają kościoły by nie uchybić swej wierze. (Być może niedługo pojawią się pierwsze oskarżenia księży o obrazę uczuć religijnych?). Coraz mniej też znaczą przyjmowane przez Kościół „zabezpieczenia” potwierdzające jego nieusuwalny, transcendentny charakter. Jednym z pierwszych była wprowadzona przez Cypriana i Orygenesusa (III w.) zasada „extra Ecclesiam nulla salus” (poza Kościołem nie ma zbawienia). Podobny charakter ma zasada „ex opere operato” (z czynu dokonanego). Formuła ta, mówiąca o obiektywnym statusie wypowiedzianych w Kościele świętych słów (sakramentów), chce uniezależnić je od ludzkiej niedoskonałości. Przypomina to trochę natchnienie poety – medium, o jakim pisał Zygmunt Krasiński („Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością”). Uniezależnienie dotyczy także stanu moralnego człowieka – zarówno kapłana, jak i tego, kto przyjmuje sakrament. Trudno w związku z tym wyzbyć się wątpliwości, czy święte misterium dokonuje się także wtedy, gdy np. aktywny pedofil udziela komunii nie rozliczonemu ze swych czynów mordercy. Podobnymi obiekcjami kierowali się protestanci, znosząc wygodny ich zdaniem sakramentalny „automatyzm” na rzecz zasady predestynacji.

Poruszające są słowa matki Teresy z Kalkuty, która w książce „Pójdź, bądź moim światem” mówi, że wkrótce po ślubach

posłuszeństwa straciła wiarę i nigdy jej nie odzyskała. Podczas beatyfikacji w 2003 roku Jan Paweł II mówił, że jej postępowanie brało się z „cichej kontemplacji” Jezusa. Pisała jednak nie o kontemplacji, ale o pustce.

Matka Teresa opisuje kilkudziesięcioletnią mękę samotności i wątplenia. Dzisiaj kapłan pozbawiony wiary nie zwraca uwagi na ten brak, skupiony na rutynowych czynnościach wykonywanych w „punkcie usługowym ślubno-chrzcielno-pogrzebowym”, jak ujmuje to Wacław Oszejca SJ. O kapłańskiej rutynie pisał ks. Mirosław Cholewa („Przegląd Powszechny” nr 1, 2010 r.): „[...] prezbiter będzie ją [posługę] pełnił jedynie formalnie, jako urzędnik kościelny, wyłącznie z przyziemnych i egoistycznych motywów, z chęci zdobycia dla siebie pieniędzy lub zyskania poklasku i uznania”. Wzorem kościelnego urzędnika może być duchowny z Gryfowa Śląskiego, o którym czytałem jakiś czas temu. W zakrystii swej parafii instalował czytnik linii papilarnych, do którego przed mszą i po jej zakończeniu mają przykładać palce miejscowi gimnazjaliści. A także gdański metropolita, który przy pomocy biurokratycznego języka uzasadnia ewangelizacyjne indeksowanie uczniów („Każdy uczeń – posiadacz Indeksu – będzie się nim legitymował wobec władz kościelnych w ramach czynności duszpasterskich, wymagających poświadczenia udziału w katechizacji szkolnej. Chodzi zwłaszcza o przygotowanie do przyjęcia sakramentów”). Widać wystarczy, że skontroluje się czyjąś fizyczną obecność w określonym miejscu.

Judaistyczne ślady widoczne są zresztą w wielu innych kwestiach. Na przykład wtedy, gdy chrześcijaństwo, które winno szukać źródeł tożsamości w kulturze – w praktyce, wzorem Żydów, znajduje te źródła w biologii (krwi) i na tej podstawie identyfikuje „swoich” i „obcych”. Choćby tak, jak zrobił to abp Henryk Hoser pytając ks. Wojciecha Lemańskiego, czy jest obrzezany, czy należy do „tego narodu”.

Nie myślę oczywiście że judaizm jest religią w jakimkolwiek sensie „gorszą”. Chodzi mi jedynie (ładne mi: jedynie!) o

zachowanie podstaw wiary nowotestamentowej, szczególnie gdy tamtą, judaistyczną, żarliwie się przez wieki piętnowało.

Autorstwo: Andrzej C. Leszczyński

Źródło: StudioOpinii.pl